Rok I

Famulus

Nr. 15

ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI



Ptaki aktorami filmowemi: Kurzogród w Holywood



Z redakcyjnego biurka

E. Przybylskiemu. Istotnie zamierzamy podać cykl wędrówek po kraju, uważając, iż nagół mało mamy wiadomości w tej dziedzinie. Każdy Anglik, Francuz, Niemiec zna wiele zakątków swej ojczyzny, żywo się nią interesuje, u nas zaś, niestety, więcej jest takich, co byli i w Paryżu, i w Londynie, a nic nie wiedzą o pięknych zabytkach w Wielkopolsce, nie zwiedzili Małopolski, nie znają nic z Kongresówki poza Warszawą. Prawda, że stan dróg naszych, prymitywność hoteli i t. p. wielce przeszkadza turystyce krajowej, trzeba jednak zacząć, później wołać o reformy i samemu je zaprowadzać.

E. Goldnerowi w Śniatyniu. Z żadnem miastem nie mamy tyle kłopotu, co ze Śniatyniem. Czy czasem nie założyli sobie Czytelnicy tamtejsi specjalnej ligi? Piszemy o wszystkiem, wedle możności. Dokładne sprawozdania podawać może regularnie tylko fachowe pismo.

M. Ochmańskiemu. O marszrucie druhów dokładnie poinformowany jest Związek Harcerski. Posiadamy wiadomości tylko o pobycie w większych centrach, jak Pradze Czeskiej, skąd reprodukowaliśmy fotografję. Na żądanie podać możemy bliższe dane.

Maryli. Dziękujemy za milutki liścik. Zamieścimy przy pierwszej sposobności, przypuszczalnie w połowie czerwca.

E. W. Dokładnych informacyj dostarczyć może konsulat francuski, Al. Róż w Warszawie. Przypuszczamy, że wiadomość tą drogą, prędzej dojdzie, aniżeli przez ankietę na miejscu.

Wł-wi. Przedstwicielstwo warszawskie nie posiada dokładnych danych. Radzimy zwrócić się do centrali w Londynie.

Anetce. Dziękujemy Ci, wierna przyjaciółko za serdeczne rady. Niestety, jest to narazie niemożliwe wobec trudności natury technicznej. Zamówiliśmy prenumeratę przez księgarnię Gebethnera i Wolffa. Rachunek prześlą bezpośrednio.

Sankowskiemu. Heraldyka nie zna podobnego herbu. Czyby Pan nie pomylił się? Radzimy sprawdzić w oryginalnych dokumentach. Jeśli nam ma być przysłany, wolelibyśmy raczej odpis.

„Wiecznemu przyjacielowi“. Informacyj udziela miejski urząd Targów, który funkcjonuje nawet i teraz. Z pewnością odpowiedzą wyczerpująco, jeśli pytania jasno zostaną sformułowane.

„Grafomanowi“. Nazwisko trafnie dobrane. Przez delikatność dla Czytelników naczelny redaktor kosza nie posiada. W niczem to jednak nie zmienia postaci rzeczy. Los raczej żałosny.

Wandzie. Nie zamieścimy. Szczerze mówiąc, sensu przecież niema. Niech się odleży w szufladzie u Pani, przekonanie samo przyjdzie.

Podróżnikowi. Zniżki są istotnie przewidziane. Każda rzecz tak długo się ciągnie, iż nie możemy podać dokładnej informacji.

I. Krajewskiej w Łowiczu. Bliższego adresu nie posiadamy. Postaramy się zasięgnąć infomacyj na drodze oficjalnego zapytania przez Ministerstwo.

Rozpowszechniajcie
„FAMULUSA“

ROZWIĄZANIE REBUSA

Teatr stwarza piedestały, a ludzie bożyszcza.

Za prawidłowe rozwiązanie rozlosowano nagrody pomiędzy następujące osoby: 1) E. Weiss w Krakowie, 2) W. Sobierajski w Zamościu, 3) W. Sółek w Warszawie, 4) J. Wardęski w Lublinie, 5) S. Pszczółka we Lwowie.



Wśród książek

„Bóg i Ojczyzna“. W chwili, gdy zajęto się propagandą książki polskiej tak, niestety, zaniedbanej wśród warstw inteligencji i pseudo-inteligencji, ukazała się jedyna bodaj w swoim rodzaju książka, przeznaczona dla tych najszerszych mas narodu, które przecież tak potrzebują, by niemi się zajęto, by promień wiedzy padł w dusze na pastwę oddane matackim intrygom politycznym, licytacjom głosów „za i „przeciw“, gdy w prostackiem swojem pojęciu mało, nic prawie nie wiedzą jeszcze o Ojczyźnie, której przedewszystkiem nieść służbę powinni.

Drogi naturalne dają najlepsze wyniki, słusznie też postąpili inicjatorzy wydania tej książki, iż znając psychologję ludu, co w modlitewniku widzi pierwszy etap kultury, połączyli modlitewnik z zarysem historycznym o Ojczyźnie, tem samem podnosząc ją na piedestał, przed którym winno się korzyć każde serce.

Książka grubości 400 stron, ozdobiona licznemi ilustracjami, wydana została w ilości 25.000 egzemplarzy.

Inicjatorom tego wydania, szacownemu mec. Antoniemu Ossuchowskiemu i prof. ks. Antoniemu Szlagowskiemu należą się najgoręt sze słowa uznania.

Stefan Turski. Klub owalnego stołu. Księgarnia S.A. Krzyżanowskiego. 1927.

Kto z bywalców krakowskich nie zna kawiarni w „Grandzie“, gdzie licznie zbierają się grupy i grupki, by gwarzyć rozmaicie o rzeczach tego świata (więcej może czasem „światka“ z A B). Wśród różnych tych towarzystw, w dymie papierosowym i oparach kawiarnianych powstał „Klub owalnego stołu“, którego jednym z koryfeuszów jest utalentowany pisarz-humorysta, Stefan Turski.

Od tak sobie, bez górnolotnego patosu rymuje wesoło na najrozmaitsze tematy dnia bieżącego, niefrasobliwie i dobrodusznie chłoszcząc to i owo. Śmieje się, a z nim i czytelnik, gdy batem lekkiego wiersza smaga różne gwiazdy na firmamencie życia codziennego, poważniej przemawia, gdy mówi o tej „sanacji“, której wszyscy tak czekamy. Śmiało kruszy kopje z demagogicznym leaderem partyjnym, którego obchodzi jedynie własny interes, a na drugiem dopiero miejscu ustawia swój patrjotyzm, aby mu tylko nie przeszkadzał.

Opłata pocztowa ryczałtem 22—29 maja 1927 r. Cena 30 gr.

FAMULUS

Ilustrowany

Tygodnik Polski

W każdej rodzinie polskiej był swój „famulus", domownik i przyjaciel, który opowiadał serdecznie różne historje o życiu i jego wydarzeniach.

Fr. Morawski

Rok I. Warszawa - Kraków - Lwów - Poznań - Wilno - Łódź - Gdańsk Nr. 15

Kartki z raptularza

CZERWONY KOGUT... Zahulał w stolicy naszej w ostatnich dniach, załopotał ognistemi skrzydłami i w niwecz obrócił ludzki dobytek.

Zapaliło się lotnisko, lecz tu jakoś szczęśliwie i w porę skrzydła mu ucięto. Zemścił się za to widocznie i poszedł nasycić gniew do warsztatów kolejowych, gdzie uraczył głód, jak się patrzy.

Straty wyniosły pono do miljona złotych, a nawet więcej.

Nie pójdzie to na zdrowie skarbowi państwa, w którym się nie przelewa.

— Panowie naczelnicy mają podobno za dużo posiedzeń i konferencyj, nie mogąc należycie dopilnować powierzonego ich pieczy dobytku. Pokazują się zrzadka, jak na uroczystość — twierdzą niektórzy.

— Brak kredytów na zabezpieczenie od zniszczenia, cóż począć? — dodają złośliwie inni — a tu szelma-pożar nie chciał czekać, aż się znajdą, przyszedł i zabrał nieswoje...

Tak mówią. Czy mają rację?

ZA TRUD I ZNÓJ NA ROLI... Twardą i znojną jest praca na roli. Niełatwo matka-ziemia nagradza trudy. Pielęgnować ją trzeba i troskać się o nią nieustannie. A do tego kapryśna jest i wymaga wielkich starań i wysiłków dla siebie

Rzeczpospolita, pragnąc wyróżniać tych, co umieją dbać o ojczyste zagony, by rodne były i płodne, ustanowiła dla nich piękny medal zasługi za trud i pracę.

Istnieje już w innych państwach, dobrze więc, że będzie i u nas, zwłaszcza, że jesteśmy krajem przedewszystkiem rolniczym.

Oby jak najwięcej piersi ozdobił w Polsce!

TRADYCJA GÓRĄ!... Z jeźdźcami polskimi mogą się równać tylko cow-boye, ci synowie preryj, zrośnięci z koniem gdyby w jedno ciała.

Taką opinję zdobyła sobie na świecie całym polska jazda.

I dumą napawa się serce polskie, że piękna tradycja górą. Bo i Polak też z dziada pradziada jeździec zawołany. Trzeba więc było tylko polskiego wojska, by polska kawalerja błysnęła staropolską cnotą.

Oto jedyny i prawdziwy sport polski, godny tego miana w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu. Tu zrozumiałe są zachwyty, okłaski, pochwały i wyrazy uznania.

Sport zrośnięty z narodem, a nie zawleczony od obcych i naśladowany niewolniczo aż do udręki fizycznej i, co gorsza, umysłowej.

ACH, TA WIOSNA!... Czy nie ironją zdawać się może stara piosenka:

— Ty maju, ty raju, ty wiosno!...

Coś się pokręciło w naturze.

Snać wstrząsy powojenne przeżywa nietylko ludzkość lecz i atmosfera, otaczająca glob ziemski.

Poczekajmy, może nas wiosna jeszcze wynagrodzi. S'ońce jakoś ukazało swe złote oblicze i uśmiecha się do nas. A takżeśmy słońca spragnieni i fizycznie i moralnie.

NASZ NOWY PLEBISCYT... Zapowiadamy w numerze bieżącym nową ankietę wśród czytelników naszych.

Tym razem o nałogu palenia i picia. Nie przesądzamy niczego zgóry. Uważamy, iż nigdy na ten temat za dużo, gdyż wymiana zdań i uwag przynosi zawsze tę korzyść, że ten i ów zastanowi się, wejrzy w siebie i porozmawia z własnem sumieniem.

— Bicz Boży, plaga, nieszczęście ludzkości! — wołają jedni.

— Walczyć, zabronić, zakazać, pod pręgierz! — dodają inni.

Są jednak i obrońcy, którzy uważają nawet, że oba nałogi, o ile nie są nadużywane, nie szkodzą organizmowi.

Nie ze względów purytańskich plebiscyt nasz zarządzamy, nie dla rozdzierania szat i wołania o dekrety i zakazy, lecz dla spokojnego i obywatelskiego omówienia obu wciąż żywych zagadnień.

A więc piszcie!...



Famulus.

Z mojej karjery... Wywiad XVI

Ferdynand Antoni Ossendowski

W jednym z numerów najstarszego i największego dziennika angielskiego, „Times'a" natrafiamy na wzmiankę o p. Ferdynandzie Ossendowskim wraz z charakterystyką jego książki „Przez kraj bogów zwierząt i ludzi", niewiadomo po raz który wydanej w języku angielskim.

„Beasts, men and gods", pisze „Times", jest książką, która w Anglji doczekała się największej liczby wydań poza dziełami Jack Londona.

Wcale nie należy dziwić się Anglikom, którzy takiem zainteresowaniem wyróżniają dzieła naszego znakomitego podróżnika i pisarza.

Anglicy umieją ocenić w literaturze egzotyczność, rozumieją trudności, towarzyszące zdobywaniu materjału do dzieł tej treści, a przedewszystkiem, jako naród, ekspansujący się kolonjalnie, interesują się bardzo nieznanemi krajami i podróżami.

Dlatego dzieła prof. Ossendowskiego, zawierające takie pierwiastki, jak egzotyzm, podróże, opisy polowań są w Anglji i Ameryce rozchwytywane i pod względem poczytności stawiane narówni z dziełami autorów „Księgi Dżungli" i „Fantazji Almayera".

Jak już zaznaczyłem, podróżom i ich opisom towarzyszą wielkie trudności techniczne.

Niejednokrotnie taką „trudnością techniczną" jest jakiś drapieżnik, a nieraz i dzicy tubylcy, których np. sfotografowanie może się dla amatora takiego zdjęcia zakończyć śmiercią. Największą jednak trudnością pisarza tego rodzaju książek jest podanie widzianych rzeczy i przeżyć w formie interesującej, nie zanadto rozwlekłej, nie naukowo suchej, a co najważniejsze nie pedagogiczno-geograficznej.

Książki p. Ferdynanda A. Ossendowskiego żadnej z takich wad nie posiadają, a mając wplecioną w treść zazwyczaj jakąś interesującą akcję, stanowią niezmiernie ciekawą lekturę. Każda jego książka, wzięta do ręki, posiada dziwną potęgę i urok natychmiasowego przykuwania do niej czytelnika odrazu, od otwarcia pierwszych kart.

Profesor Ossendowski, który, jak wiadomo, już zaczyna się przygotowywać do nowej odleglejszej podróży do środka Azji, przyjmuje mnie w gabinecie, pełnym trofeów myśliwskich oraz dziwnych broni, a



F. A. OSSENDOWSKI.

uspokoiwszy co do pokojowych zamiarów małpy, obserwującej mnie nieufnie, łaskawie opowiada mi następujący epizod ze swojej karjery:

— Opowiem panu fakt, jaki mi osobiście sprawił największą moralną przyjemność. Fakt ten jest ściśle związany z moją pracą literacką.

Było to w roku 1924 w Afryce, w Fezie. Koniecznie mi był potrzebny jeden rzadki egzemplarz świętej dla wyznawców Mahometa księgi, Koranu. Chcąc nabyć książkę, obszedłem kilkanaście arabskich antykwarni, jednak bezskutecznie. Tego wydania, które chciałem kupić, nigdzie nie mogłem znaleźć. Zmęczony, zgrzany, bo niech pan pamięta, że to Afryka, wstąpiłem, obiecując sobie, że to jest już po raz ostatni, do pewnej maleńkiej arabskiej księgarenki.

W księgarni tej oprócz sprzedawcy zastałem jeszcze jednego Araba, o bardzo poważnym wyglądzie, któremu tak, jak i mnie, chodziło o jakiegoś białego kruka.

Przy rozmowie z właścicielem sklepu tak od niechcenia nawiązała się rozmowa i z tym drugim Arabem, który, jak się później dowiedziałem, był profesorem Medar-Su, uniwersytetu koranicznego. Mędrzec ten zapytał mnie na wstępie, jakiej jestem narodowości i czem się zajmuję. Gdy mu odpowiedziałem, że ma przed sobą Polaka i literata, koranista wcale się nie zdziwił, gdyż wiedział o Polsce, przynajmniej tyle, ile na cudzoziemca wystarcza, a że jestem literatem, bardzo się z tego ucieszył i zapytał: „Czy pan może ma przyjemność znać swego znakomitego rodaka i kolegę po fachu, autora „Przez kraj zwierząt, bogów i ludzi", pana Ossendowskiego?" Uśmiechnąłem się i odparłem, że bardzo dobrze nawet, gdyż nim właśnie jestem. Mędrzec wschodni był bardzo z tego zadowolony, nawiązała się między nami bliższa znajomość, książkę moją „Beasts, men and gods" miał w swej bibljotece i cenił ją bardzo, a orjentując się świetnie w miejscowych stosunkach, udzielił mi mnóstwa bardzo pożytecznych informacyj dla dalszej mojej ekspedycji. Dzięki niemu właśnie udało mi się sfotografować wnętrze meczetu Mullej Idrisa, wnętrze, gdzie oprócz mnie nie stanęła dotychczas stopa żadnego cudzoziemca-giaura.

— A obecnie czy pan profesor wybiera się w świat?

— Tak, ale to nie będzie ekspedycja w nieznane kraje, tylko tourné z odczytami po Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, dokąd zostałem zaproszony. Po powrocie dopiero z Ameryki mam zamiar przedsięwziąć wyprawę naukową do Indij Północnych. Będzie to wędrówka t. z. Szlakiem Bon Vallote'a, nazwana imieniem tem na pamiątkę pierwszego i jedynego podróżnika Francuza, który ją odbył.

— Kto będzie panu towarzyszył w podróży w tej malarycznej miejscowości?

— Tam, gdzie byłem, panuje taka malarja, że lepszej nigdzie już nie znajdę. Żona moja dotychczas po malarji, nabytej w podróży po Afryce, czuje się chora.

W najbliższej tej wyprawie prawdopodobnie towarzyszyć mi będą oficerowie angielscy, którzy wyrazili chęć współudziału w wędrówce.

Napewno trafię na jakieś ważne wypadki. Takie już mam szczęście, że, gdzie tylko przybędę, tam zaraz musi się zacząć jakaś rewolucja czy powstanie, jakieś dziejowe przemiany...

Życząc szczęścia w podróżach po krańcach i odłogach świata naszemu znakomitemu literatowi, podróżnikowi i myśliwemu, pożegnałem prof. Ossendowskiego, serdecznie dziękując za interesujący wywiad.

M. G.

PRZY KOMINKU

Tak rozpowszechnione w swoim czasie docinki do nazwisk nie szczędziły nawet najzacniejszych ludzi, a ich potomność nie wiadomo dlaczego, pozbyć się nie mogła przywiązanego do ich nazwiska konceptu.

Oto Duninowie przykrości nie mało mieli z powodu powiedzenia:

„Co komin, to Dunin",

które złośliwsi interpretowali:

„Co chałupa, to komin,
A co kiep, to Dunin".

Powiedzenie to stąd pochodziło, iż protoplaście jednemu z Duninów Najświętsza Marja Panna obiecać miała, jak głosiła powszechna fama, że potomstwo jego na tyle rodów się rozwinie, ile kościołów wystawi, których to, jak notuje Kromer, Dunin aż 77 ufundował.

Inne znów człowieka nawet na łożu śmierci nie szczędzą. Napróżnoby nawet szukać znaczenia w podobnem jak o Dąbkach powiedzeniu:

„Własny nieboszczyk Dąbek,
co w stojączki zdechł"

Tak samo niezrozumiałe na długie czasy jednak pozostało powiedzenie:

„Spisał się, jak Grabski w tańcu"

Pocieszmy tych, coby nazwisko nosili, do którego śmieszna przywiązana jest przymówka, iż często powód do niej był najzupełniej nawet obcy jakiemukolwiek antenatowi rodziny.

Oto naprzykład, jak despektownie potraktowano nazwisko Kaczkowskich powiedzeniem:

„Za zdrowie Kaczkosi,
co Żydom wodę nosi"

Przymówka ta powstała na pewnym bankiecie na Podolu. Gdy toastów bibantom nie starczyło już w pamięci, a pić przecież trzeba z sensem, „Kaczkosi" więc zdrowie wypito, biednej żebraczki, nałogowej pijaczki, co w sąsiedniem miasteczku różne służebne posługi żydom oddawała, choćby i najchętniej za szklankę gorzałki.

Przypadek, jak ten, który dotknął nazwisko Kapenhauzen, stwarza z jednego nazwiska przymówkę, Kapenhauzen był to bowiem przydomek, który nadawano każdemu, którego za kpa i błazna miano.

Jednego razu w Lublinie, zamiast wpisu przeczytanego sobie od instygatora: „Imść pan Kapenhauzen, przeciw Imści panu Rościszewskiemu" woźny wykrzyknął z paszczęki swojej: „Imść pan **Kiep i błazen**, przeciw Imści panu Rościszewskiemu".

Przymówka ta długo kursowała szczególnie w palestranckich sferach.

A cóż mówić, jeśli nie człowiek winien ośmieszeniu nazwiska, a zwierzę, jak naprzykład fakt, iż koni kilka wyszło ze stadą niejakiego Kandyby nieudanych, co wystarczyło, by każdego niezgrabnego konia Kandybą zwaną, i wiersz złośliwy, który w przysłowie przeszedł wymyślono:

Czy ryba, czy rak
Kandyba durak.
Czy rak, czy ryba
Durak Kandyba.
Czy siak, czy tak —
Kandyba durak.

Były i takie powiedzenia, w których zgoła żadnego sensu doszukać się nie można było, jak to:

Fijołek i kółko,
Majewski z pigułką
I kura na grzędzie
Wiele z tego będzie?

Wiemy tylko, że powiedzenie to odnosiło się do doktora Malinowskiego, lekarza liceum Krzemienieckiego.

*

W bibljotece Barberinich znajdujemy ciekawy dokument, świadczący o tym ogromnym przepychu, którym królowie nasi lubili w znak szczególnego szacunku otaczać nuncjuszów Ojca Świętego.

Oto spis dziennych wydatków na wyżywienie świty ministra papieskiego podczas podróży z Krakowa do Warszawy (w latach 1625):

Na 300 osób orszaku, w czem 250 konnej asysty, wydawano: 2 woły, 7 cieląt, 6 prosiąt, 48 zapłonów, 76 kurcząt, 20 gołębi, 6 owiec, 26 gęsi, 2 garnki masła, chleba pszennego za zł. 12, razowego za 6 zł., 3 baryłki wina, 10 beczek piwa, 10 kuropatw, 20 przepiórek.

Wcale niezłe apetyty mieli członkowie świty!



Ze starych rycin: Na promenadzie w parku: — Przysięgam wam, bracia, że pamiętam, jak byłem krową przed urodzeniem... — A czy pamiętasz, jak cię doili?... (Żart na modne w swoim czasie debaty o teorji wcielania się duszy w różne stworzenia)

Dr. WŁADYSŁAW MALESZEWSKI

Wandalin Zielony

Na zachodnim cyplu afrykańskiej i murzyńskiej republiki Liberji utworzyła się z biegiem czasu dość zamożna polska kolonja. Po latach kolonja rozbudowała się w miasto, które liczyło ze sześć tysięcy mieszkańców.

Było tam wszystko, czego miasto potrzebuje. I sąd, i apteka, i szkoła, i jakieś władze rządzące. Był tam także i fryzjer i wypychacz ptaków. Nie brak było i kościoła.

Ludność miejscowa widocznie pod działaniem żarzącego słońca z roku na rok tępiała. Przodował w tem burmistrz. Ultrafjoletowe promienie afrykańskiego słońca wpływały u wszystkich na rozbudzenie zarozumiałości do niebywałych granic. Każdy się mienił nieomylnym, doskonałym jedynym w swoim rodzaju.

Miasto miało jedną bardzo przykrą cechę. Kolor zielony zapanował w niem z całą bezwzględnością. Okna domów, chronione od żaru słońca przez okiennice lub żaluzje, były malowane na zielono. Ogrody, które pokrywały nieforemne miasto, były pokryte wysoką zieloną trawą. Przez zieloną granicę do sąsiedniego państwa szwarcowano bydło i zboże. Większość obywateli miała zielono w głowie. Młodzież grała w zielone. Burmistrz nazywał się Wandalin Zielony, ksiądz—Ignacy Zieleniak, aptekarz — Ludwik Zielonka, a na dobitek organista — Mikołaj Zielonawy. Bawiłem właśnie w tem mieście. kiedy nadeszły Zielone Świątki. I wtedy zielonego było mi już za dużo. Tego przygnębienia wytrzymać nie mogłem i uciekłem na dni kilka w sąsiednie góry.

Było to miasto przytem, powiedzieć można, paradoksalne.

Jeżeli bowiem ktoś nazywał się Chudy, to napewno był bardzo gruby, jeżeli nazywał się Chytry, to niewątpliwie Bogu ducha był winien, jeżeli Narożny, to okrągły, jak pulpet, jeżeli Rozsada, to napewno bezdzietny, a jeżeli Majtas, to napewno z biedy bez portek chodził.

Ponieważ domy miały dachy, jak Pan Bóg przykazał, nic dziwnego zatem, że znalazł się tam i specjalista od pokrywania dachów. Na imię mu było Franciszek, i, o dziwo, nazwisko jego nie przypominało nic zielonego, nazywał się bowiem Obracaj.

A zatem Franciszek Obracaj był pierwszym pokrywaczem dachów w tem mieście. Był to człowiek niski, krępy, o trochę pałąkowatych nogach, głowa przypominała nieco gruszkę, jednak nie z gatunku tych soczystych dużych, lecz raczej polską ulęgałkę. Włosów na głowie nic miał dużo, ale te, co były, układały się na środku głowy kokieteryjnie w przedziałek.

Pochodził z Wielkopolski.

Dziwne losy zaniosły go pod niebo afrykańskie. Ojciec jego był właścicielem karuzeli, z którą objeżdżał wielkopolskie miasta i miasteczka, gdzie stał się ulubionym i upragnionym gościem. Szczególną sławą cieszył się w Pakości.

Młody Franio Obracaj od najwcześniejszego dzieciństwa walczył już z żywiołami. Dosiadał z nieustraszoną odwagą lwa na karuzeli, a przeżegnawszy się tylko, wsiadał z rezygnacją do automobilu, balonu lub aeroplanu. Katarynka, przy tem przygrywająca, kołysała go w marzeniach i wyrabiała w nim serce tkliwe i kochliwe. Przez karuzelę ojcowską rycerskość Frania dojrzewała z dnia na dzień. Rycerskim bowiem do przesady był względem dam, któremi opiekował się w balonie lub aeroplanie, trzymając je tkliwie wpół, bacząc, aby nie wypadły. Podsadzanie dam do wsiadania na karuzelę było jego specjalnością. Ponieważ cały czas przygrywała duża włoska katarynka, nic dziwnego, że wywiązywały się z tej sytuacji nieoficjalne tańce na murawie, i młody Franio Obracaj stał się niezadługo wyrocznią w choreografji. Kobiety, jak to mówią, wprost za nim szalały.

W nowej afrykańskiej stolicy cieszył się tem samem powodzeniem. Pracy miał bardzo dużo. Nie złaził poprostu z dachu. Dzięki niemu nie przeciekało w żadnym domu do mieszkania, w czem pomagała mu i ta okoliczność, że deszczów w tej strefie wcale nie było.

Biedny Franio tęsknił za dawnem życiem, za muzyką melodyjną, za motywami wiedeńskich operetek, ale w tem mieście oprócz wrzasku niesfornych bachorów lub krzyku uszczypniętej przez przechodnia zabłąkanej w zaułku kobiety żadne inne dźwięki nie pieściły muzykalnego ucha Frania.

W chwili rozognienia namiętności politycznych w pewnem mieście w Wielkopolsce późną nocą targnął się na życie znany w mieście kataryniarz, Walenty Rogalik. Sąsiedzi jednak ubezwładnili ten jego rozpaczliwy krok. Nie miał do niego nikt zaufania. Do żadnej pracy przyjąć go nie chciano. Każda melodja, grana przez niego na katarynce, wydawała się mieszkańcom szyderstwem politycznem. „Walc z „Barona Cygańskiego" uważano jako apoteozę jego politycznych ideałów. „Hrabiego Luksemburga" — jako wyszydzanie przeciwników politycznych. Nie pozostało Rogalikowi nic innego, jak zabrać swą katarynkę, spadek po ojcu, i wybrać się za oceany. Tak też uczynił.

Wychodząc z domu cichym rankiem z katarynką na plecach, przeżegnał się pobożnie przed figurą Matki Boskiej na rynku rzucił ostatni wzrok rzewny na mieszkanie burmistrza, który go ongiś wpisywał do ksiąg metrykalnych, i ze łzami w oczach opuścił miasto rodzinne.

Długie miesiące mijały, nim prze-

zacny Walenty dotarł do brzegów afrykańskich. Tam go murzyny przyjęły z wielką serdecznością. Rada w radę udal się do kolonji polskiej, do sławnego miasta na cyplu Liberji. Od tej chwili rozbrzmiewały dźwięki katarynki po ulicach i placach. Mieszkańcy na te rozkosze byli obojętni. Nikt mu nie podał kawałka chleba, nikt go pod swój dach nie przygarnął.

Gdy jednak raz, stojąc w zaułku i kręcąc korbą, wydmuchiwał Rogalik z rzewnością cienkim falsetem „Z dymem pożarów", nadszedł właśnie Obracaj. Przyskoczył do niego z rozczuleniem, uścisnął serdecznie bratnią duszę, i od tego czasu obaj melonani byli połączeni nierozerwalnemi węzłami bratniej przyjaźni. Franio dzielił się z Rogalikiem swemi dochodami, prowadzili wspólną kasę i czekali lepszej przyszłości.

Pewnego dnia w dzień swego patrona Franio miał bardzo pilne zajęcie na dachu jednego z domów na głównej ulicy. Dach był płaski. Wyszedł wczesnym rankiem z domu, nie budząc Rogalika, i zabrał się do pracy pospiesznie. Pan Walenty Rogalik, obudziwszy się i nie zastawszy już Frania w mieszkaniu, wziął katarynkę na plecy i pospieszył przed dom, na którym wiedział, że Frania zastanie, chcąc mu złożyć imieninowe życzenia.

Odsapnąwszy głęboko, zagrał mu z zapałem walca z „Wesołej wdówki". Franio na dachu, zaskoczony tą owacją, stanął, jak wryty. Jak rasowy koń, zarżał z radości. Oczy mu błyszczały załzawione, wspomnienia targały jego duszę. Wyciągnął przyjacielskie ramiona, zapraszające do uścisku, w stronę Rogalika. „Wesoła wdówka" szalała w dalszym ciągu. Po chwili nastąpiło oprzytomnienie. Franio wyciągnął grzebyk z kieszeni, poprawił przedziałek, jak to miał zwyczaj przed każdym tańcem przy karuzeli, i zrobiwszy kilka wstępnych ruchów baletowych, puścił się w wir walca, jak szalony. Tańczył po dachu, jak po sali balowej. Robił ósemki naokoło kominów, przed piorunochronem kłaniał się, jakby odprowadzając na miejsce damę po tańcu, to znowu skłonił się z wyszukaną grzecznością przed sąsiednim kominem, jakby zapraszał nową damę do walca, i począł w dalszym ciągu tańczyć z nieubłaganą wytrwałością, gdzie się dało i jak się dało.

Przed domem zaczęła się zbierać publiczność. Każdy oceniał zajście ze swego punktu widzenia. Rogalik rżnął „Wdówkę" bez wytchnienia. Zaalarmowany burmistrz zjawił się na miejscu.

Ponieważ gorące promienie słońca afrykańskiego wykazywały swe ujemne działanie najwięcej na umysłowość burmistrza, zielony kolor nie chronił go bowiem od tego, przeto postanowienia jego przyjmowały najdziwaczniejsze i nieobliczalne formy. Decyzje burmistrza były prędkie i nieomylne.

Burmistrz, zjawiwszy się wśród tłumów przed domem, na którym tańczył Obracaj, jednem spojrzeniem opanował sytuację i w mgnieniu oka dojrzała w nim decyzja.

Ocenił nieszczęśliwego, rozhulanego Frania, jako warjata, i przywołał straż ogniową do pomocy. Wszystkie bowiem nawoływania burmistrza do zejścia z dachu nie odniosły najmniejszego skutku. Z chwilą zjawienia się straży ogniowej burmistrz własnoręcznie silnym prądem wody oblewał tańczącego Frania, chcąc go zmusić do zejścia z dachu. We Franiu jednak grała krew gorąca syna właściciela karuzeli, i nie dał się tak łatwo opanować. Zmoczony, jak pudel, tańczył dalej. W końcu jednak, wodą kapiący, usiadł na kominie i błędnemi oczami patrzył na ulicę. Podstawiono mu drabinę i kazano, według prawa afrykańskiego, zejść po niej na dół, co też posłusznie uczynił.

Ujęto go natychmiastowo w silne ramiona i odwieziono do szpitala, gdzie osadzono go w celi dla warjatów, wybitej miękkiemi materacami.

Po wysuszeniu swego grzesznego ciała równowaga i wesołość Franiowi wróciły bardzo szybko. Poprawił sobie przedziałek, poczem, nucąc pod nosem, jął tańce i harce od nowa. Władza miejscowa miała nieomylne dowody szału, a miejscowy lekarz zapisał Franciszka Obracaja w księgach szpitalnych, notując w rubryce dla rozpoznania djagnozę „paramoia balletosa". Frania karmiono dobrze. Wysypiał się dostatecznie a resztę dnia spędzał na muzyce tańcu.

Niemal codzień burmistrz wynajdywał nowe ofiary warjactwa. Ktoś w mieście zapoczątkował utworzenie Towarzystwa Przeciwalkoholowego, inny zapłacił proboszczow taksę pogrzebową przed śmiercią inny zaś, szczery patryjota, sporządził notarjalny testament, któregc mocą miał zostać po śmierci wypchany i stanowić pierwszy okaz w przyszłem muzeum narodowem w mieście. Wszystkich tych obywatel burmistrz zakwalifikował do cel Obracaja. Taki porządek zapanował w mieście.

Z dnia na dzień gromadka w celi się zwiększała, tak że z biegiem czasu zebrało się bardzo miłe i sympatyczne towarzystwo. Stanęło sześć par do kadryla. Obracaj na swoim grzebyku, którego mu nie odebrano wobec braku obawy, aby się na nim mógł powiesić, przygrywał towarzystwu do tańca. Z biegiem czasu pomysły choreograficzne przybierały formy coraz doskonalsze, tak że po kilku miesiącach, kiedy fundusze szpitalne na karmienie warjatów wyczerpały się zupełnie, zamkniętych wypuszczono, a gromadka, zżyta z sobą i stańczona harmonijnie, stanowiła zapoczątkowanie baletu w mieście.

Rogalik był nadwornym kapelmistrzem. Przy otwarciu pierwszego sezonu teatralnego w sali, udekorowanej zielenią, w pierwszym rzędzie na pryncypalnem miejscu siedział burmistrz Wandalin Zielony, dumny, rozparty i uroczysty.

Po odtańczeniu „Ojra, ojra" przy frenetycznych oklaskach odśpiewano, trzeba czy nie trzeba, miejscowym zwyczajem hymn narodowy.

MARJA SZACHÓWNA

Zwiedzajmy Polskę!

A czy znasz ty, bracie młody,
Twoje ziemie, twoje wody...

zapytywał w swoim wierszu Pol, a pytanie to zdaje się być i dziś bardzo aktualne, bo chyba, mimo naszej ośmioletniej niepodległości, żadna gałęź życia kulturalno-społecznego nie leży w Polsce tak jeszcze odłogiem, jak krajoznawstwo, chociaż, naprawdę, pod względem różnorodności pejzażów i bogactwa zabytków Polska nie ma się czego wstydzić. Prawda, że większa część naszego kraju urządzona jest jeszcze prymitywnie i nie w każdej miejscowości znaleźć można hotel komfortowy i wygodny, ale udostępnianie kraju dla turystów i gości od morza po Karpaty posuwa się ciągle naprzód, a szybkość tego rozwoju tamuje kryzys gospodarczy, który kraj nasz przeżywa.

Trzeba tylko się po Polsce przejechać, aby zobaczyć, że mimo pewnych jeszcze braków, i to głównie w części wschodniej i północnej, rozmaitości, godnych zwiedzania, znajdzie się dosyć, i niejeden ze zdumieniem i dumą powróci do siebie, ujrzawszy na własne oczy bogactwo i różnorodność ziemi naszej.

Bo czegóż my też nie mamy?

Brzeg morza, choć jeszcze nie urządzony należycie i przystosowany do potrzeb gości, ale posiada za to piaszczystą plażę, słońca i powietrza bez miary, i porośnięty jest w wielu miejscach gęstym balsamicznym lasem sosnowym. Domki, coprawda, dla letników są jeszcze z wyjątkiem Gdyni, Pucka i Helu prymitywne, ale nie możemy zapominać, że z rąk Niemców dostaliśmy ubogie, małe, nieznane wioski rybackie i własnemi siłami dopiero zamieniamy je w letniska nadmorskie. Trzeba więc z cierpliwością i jednocześnie dumą patrzeć na rozwój tych najmłodszych letnisk naszych.

Dumą i chlubą kraju naszego są nasze góry, ta naturalna forteca, broniąca naszych granic od południa i osłaniająca nasz klimat od zbyt silnych wiatrów. Pasmo Karpat stanowi pozatem dla turystów niewyczerpaną skarbnicę wycieczek o najróżnorodniejszej skali.

Groźne, nieprzystępne i ponure Tatry dostarczają przy wspinaniu się na ich granitowe szczyty, przy zupełnej dziewiczości otaczającej je przyrody, wrażeń stokroć silniejszych, jak Alpy i Pieniny, zabardzo już urządzone wygodnie. Tu człowiek może tygodniami całemi, mieszkając w malowniczo ukrytych górskich schroniskach, obcować z nawpół dziką jeszcze prpzyrodą.

Karpaty Zachodnie, t. zw. Beskidy, to góry o łagodnych, kopulastych szczytach, łatwych do osiągnięcia, po których wędrówki nastręczają wiele estetycznych wrażeń widokowych przy małym stosunkowo wysiłku fizycznym.

Wschodnie Karpaty tworzą mało znane, zawalone głazami odwiecznymi Gorgany i ich odnogi, porosłe lasami, a do czasu wojny europejskiej rzadko przez turystów odwiedzane. Wspinanie się po nich nie nastręcza takich trudności, jak w Tatrach, ale przeraźliwe pustkowie utrudnia odbywanie wycieczek i zmusza turystów do zaopatrywania się w produkty na cały czas trwania wycieczki bez możności nabycia czegokolwiek z wyjątkiem mleka po drodze.

Trzecim z kolei skarbem narodowym są nasze zdrojowiska, też nie wszystkie jeszcze postawione na odpowiednim poziomie, jednak rozwijające się z roku na rok. Doroczne bowiem zjazdy właścicieli zdrojowisk i letnisk stwierdzają, że dążeniem ich i troską jest podniesienie naszych zdrojowisk i letnisk do poziomu europejskiego, by zastąpić naszej publiczności choć częściowo kurorty zagraniczne.

Na czwartem miejscu wymienimy nasze zabytki artystyczne i historyczne, zgrupowane w niektórych miastach, a więc w ich muzeach, kościołach, zamkach, i pałacach, które tak żywo ucieleśniają bogatą przeszłość naszego narodu i to ciągłe przesadzanie do nas przez mecenasów sztuki najpiękniejszych wzorów kultury i artyzmu z zagranicy, które u nas znajdowały zawsze tak wdzięczną glebę do rozwoju i klimatyzowania się. Niemal każdy styl, wprowadzony przez obcych artystów, goszczonych na dworze królewskim i arystokracji polskiej, posiadał u nas naśladowców Polaków i nabierał odmian rodzimo-polskich.

Dużo romantyzmu nadają Polsce niezliczone ruiny zamków średniowiecznych, romantycznie położonych na skałach i wzgórzach, z których kilka zachowało swoje średniowieczne fortyfikacje. Są one pełne ponurej dumy i grozy, a każdemu z nich prawie przypisywana jest jakaś tajemnica lub bohaterska opowieść.

Przeciwstawieństwem tych ruin są spotykane, dość często jeszcze, słońcem zalane i odcinające się



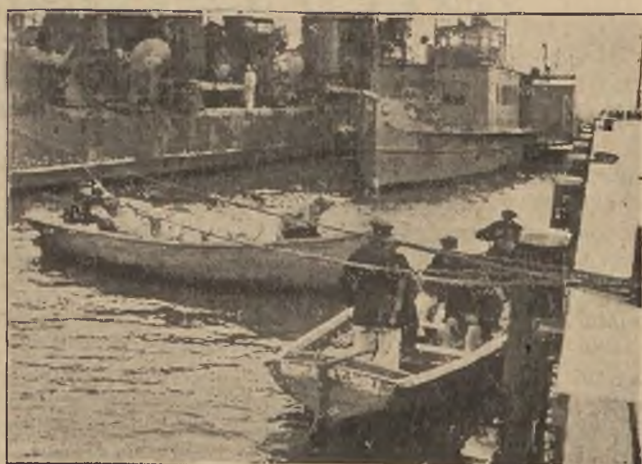
Piękno Polski: Giewont i Czerwone Wierchy

Wiosna nad polskiem morzem

Fot. K. Pęcherski



Wielbiciel i propagator polskiego morza jenerał Mariusz Zaruski przyjechał objąć stanowisko starosty.



Nie próżnuje też nasza marynarka w Gdyni: rekruci na ćwiczeniach uczą się sztuki panowania nad morzem.



Stary kaszub. rybak z dziada pradziada, naprawia sieci.



Rybacy na Helu przygotowują się z wiosną do pracy.

kształtną formą wśród zieleni rokokowe i barokowe pałace arystokracji i szlachty, przeważnie zamieszkałe dotychczas i posiadające bogate galerje obrazów, zbrojownie, drogocenne zabytki sztuki polskiej i obcej.

Wielką osobliwością etnograficzną są rzadko dziś już spotykane w Europie Zachodniej całe powiaty, w których ludność nosi stroje ludowe, nadające jej swoisty i malowniczy wygląd.

W Polsce południowo-zachodniej spotykamy jeszcze w dość dużej ilości kościoły drewniane z XV, XVI, XVII i XVIII wieku, budowane w specjalnym dla nich stylu, a niektóre z nich, jak np. kościół w Dębnie, udekorowane wewnątrz ludową ornamentyką i polichromją.

Z osobliwości przyrody na pierwszy plan wysuwają się w Polsce lasy z Puszczą Białowieską na czele, w ilości na Zachodzie już nie spotykanej. W niektórych urządzone są rezerwaty z zanikających już gatunków drzew, jak np. rezerwat jodłowy w Górach Świętokrzyskich, etc. Następnie idą parki, z których najpiękniejszymi są dostępne dla publiczności parki w Pszczynie i Świerklańcu na Śląsku.

Kto postanowi przez szereg lat spędzać wszystkie urlopy i niedziele letnie na wędrówkach po kraju dla zapoznania się z jego wyglądem i pięknem, za każdym razem wracać będzie bardziej oczarowany bogactwem i różnorodnością krajobrazu i bogactw. Wiele bowiem zakątków kraju naszego, jak np. Kraków z okolicą, Tatry, Pieniny czy Karpaty Wschodnie mogą śmiało konkurować z okrzyczanemi miejscowościami zagranicą, z tem udogodnieniem że nie trzeba dla dojazdu do nich wyrabiać sobie paszportów.

W szeregu następnych artykułów postaramy się zaznajomić naszych czytelników z ciekawszemi i wybitniejszemi zabytkami i okolicami kraju, aby tą drogą ułatwić im układanie programów na spędzenie wakacyj stosownie do wolnego czasu i upodobań.



GUY DE MAUPASSANT

Straszliwa przygoda

...Żąda pan odemnie, bym opowiedziała najsilniejsze z wrażeń, doznanych w życiu?... Jestem już starą, nie mam dzieci, ni krewnych, mogę więc z całą swobodą zwierzyć się przed panem. Przyrzecz mi tylko to jedno, że nikomu nie wymienisz mego nazwiska.

Byłam kochaną wiele, wiele razy — wszak panu wiadomo; i ja kochałam nieraz. Byłam bo bardzo piękna... O! mam prawo mówić o tem dzisiaj, gdy z dawnej mej urody nie zostało ni śladu.

Opowiem panu pierwszą z moich przygód, w której odegrałam rolę całkiem niewinną.

Byłam wówczas od roku żoną bogatego człowieka, hrabiego Henryka K., bretończyka starej rasy.

Mąż mój był mężczyzną wysokiego wzrostu, wytwornym, o manierach prawdziwie wielkopańskich; inteligencja jego jednak pozostawiała wiele do życzenia.

Zamek, w którym mieszkaliśmy, wznosił się w pośrodku okolicy pustej. Gmach ten wielki, posępny, otoczony był ogromnemi drzewami porosłemi mchem, którego okiście przypominały brody starców.

Prócz zwykłej służby mieliśmy strzelca, zwierzęco, na śmierć i życie przywiązanego do mego męża, i pokojówkę — przyjaciółkę niemal, oddaną mi bezgranicznie. Przywiozłam ją z Hiszpanji przed pięciu laty. Była dzieckiem osieroconem, a powierzchownością przypominała cygankę z powodu śniadej cery, czarnych oczu i strzechy ciemnych włosów, stale zjeżonych nad czołem. Liczyła wówczas lat szesnaście, lecz wyglądała na dwadzieścia.

Nadeszła jesień. Rozpoczął się szereg polowań u nas i w sąsiedztwie, podczas których zwróciły moją uwagę częstsze, niż innych znajomych, odwiedziny pewnego młodego człowieka, barona C. Naraz przestał u nas bywać. Nie uczyniło to na mnie żadnego wrażenia; zauważyłam jednak równocześnie, że mąż mój zachowuje się wobec mnie inaczej, niż przedtem.

Stał się małomównym, zamyślonym, przestał mnie całować, a chociaż nie przekraczał progu mej sypialni, gdyż, pragnąc zakosztować nieco samotności, zażądałam, aby każde z nas miało osobną, to jednak często, nocą, słyszałam skradające się do mych drzwi kroki jego, które po kilku minutach znów się oddalały.

Ponieważ pokój mój był na parterze, więc zdawało mi się też kilkakrotnie, że słyszę szelest kroków, krążących w mroku dokoła zamku. Powiedziałam o tem mężowi, który przez chwilę bystro na mnie spoglądał, poczem odparł:

— To nic, to mój strzelec.

Otóż pewnego wieczora, pod koniec obiadu, Henryk, będący tym razem w wyjątkowo dobrym humorze, w którym czuć jednak było coś nieszczerego, nagle zapytał:

— Czy nie zechciałabyś spędzić ze mną jakich trzech godzin nad stawami, na czatach?... Spodziewam się ubić lisa, który noc w noc skrada się do naszych kur.

Propozycja ta dziwnie mnie jakoś uderzyła. Zawahałam się, czy ją przyjąć, lecz czując na sobie jego uporczywe spojrzenie, po chwili odpowiedziałam:

— Rozumie się, mój przyjacielu.

Bo musi pan wiedzieć, że polowałam swego czasu na wilki i dziki jak mężczyzna. W prośbie męża nie było więc ostatecznie nic nienaturalnego. Twarz jego jednak wyrażała od tej chwili coraz większe zdenerwowanie, które go już nie opuściło przez cały dalszy ciąg wieczora. Raz po raz wstawał z krzesła, to znowu siadał, jakby nie mógł wytrzymać na miejscu.

Około godziny dziesiątej ozwał się nagle:

—Czyś gotowa?

Wstałam natychmiast i biorąc z jego rąk strzelbę, którą mi przyniósł, spytałam:

— Kulą nabić, czy śrutem?

Zaskoczony tem pytaniem, milczał chwilę. Wkońcu rzekł:

— Śrutem... To wystarczy, mogę cię zapewnić.

Po paru zaś sekundach dodał tonem dziwnym:

— Doprawdy, można ci powinszować twej zimnej krwi.

Roześmiałam się:

— Cóż znowu!... Zimną krew przed wyprawą na lisa!?... Co ci się zdaje?...

Wyszliśmy jak najciszej przez park. Cały dom pogrążony był we śnie. Księżyc w pełni, żółtą barwą rozświetlał ciemne mury starej budowli, której łupkowy dach srebrnemi tonami lśnił w poświacie księżyca. Dwie wieżyczki, sterczące po obu stronach, połyskiwały na szczycie dwiema kolumienkami blasku, a ciszy tej nocy jasnej i melancholijnej, słodkiej i przytłaczającej zarazem, a jakby zmartwiałej, najlżejszy nawet nie zakłócał szelest. Ani szmer wiatru, ani rechotanie żab, ani krzyk sowy — nic nie przerywało milczenia, a jakieś ponure odrętwienie zdawało się ciążyć nad całem otoczeniem.

Zaledwie zapuściliśmy się między drzewa parku, owiał mnie chłód i woń spadłych liści. Mąż mój nie odezwał się przez drogę ani jednem słowem, rozglądał się tylko nadsłuchując, jakby wietrzył wśród mroku, całkowicie opanowany żyłką myśliwską.

Niezadługo stanęliśmy nad brzegiem stawów.

Trzcinowa ich czupryna, której nie trącał żaden powiew wietrzyka, jeżyła się nieruchomo; natomiast dreszcze ledwie uchwytne marszczyły powierzchnię wody. Drobny punkcik, drgnąwszy tu i ówdzie na szklanej tafli, wprawiał na niej w ruch kręgi, podobne do świetlanych zmarszczek, które, rosnąc w nieskończoność, zataczały coraz to szersze koła.

Gdy stanęliśmy przy domku, mającym nam służyć za kryjówkę, mąż mój puścił mnie przodem, poczem nabił zwolna swą strzelbę, której trzask dziwne na mnie wywarł wrażenie.

Jakby odczuł mój dreszcz, zapytał:

— A może ta próba ci już wystarczy? W takim razie możemy zawrócić.

Z niekłamanem zdumieniem odparłam:

Jakiś ty dziś zabawny.

— Cóż znowu! Przecie nie po to przyszliśmy, by wracać z niczem.

Odszepnął:

— Jak sobie życzysz.

I pozostaliśmy.

Po półgodzinnem może milczącem

PAWEŁ KUBISZ

Z cyklu legend beskidzkich



Jak to zbójnicki duchy tańcowały

Roz zbujnicki duchy wstały —
A było ich mnogość wielko,
W skałach zgłuchła dusza wszelko
Drzewa z strachu kamieniały!
A było ich srogo moc,
Kiej sie w czorną zeszli noc.
Od złota wszyscy kapali,
Światło sie straszeczne stało.

I po gróniach zadudniało —
Bo zbujnicy tańcowali!
A było ich srogo moc,
Kiej sie w czorną zeszli noc.
Podkówki im zaszczyrkały,
Wrzeszczała na dębie sowa...
Kansi skrzypce w boru grały,
Trupio wyszła z lasu głowa.

A było ich srogo moc,
Kiej sie w czorną zeszli noc.
W boru głucho—w boru cicho
Nic sie nigdzi nie wieruszy —
Odsmyczyło zbuji licho!
A bór zostoł, jak bez duszy.
A było ich srogo moc,
Kiej sie w czorną zeszli noc...

---

wyczekiwaniu, gdy najlżejszy nawet szmer nie zakłócał przygniatającego spokoju tej jasnej, jesiennej nocy, rzekłam cicho:

— Czy tylko jesteś pewny, że on tędy przechodzi?

Zadrżał, jak gdybym go ugryzła, i szepnął mi w same ucho.

— Zupełnie pewny, wierzaj mi.

I znów zaległo milczenie.

Zdaje mi się, że zaczynałam już popadać w drzemkę, gdy nagle mąż mój, ścisnąwszy mnie za rękę, szepnął głosem zmienionym, syczącym:

Wodzisz go?... Tam, pod drzewami...

Daremnie wytężałam wzrok, nie dostrzegłam bowiem niczego. Henryk tymczasem, nie spuszczając ze mnie oczu, przyłożył strzelbę do ramienia. I ja także przygotowałam się do strzału, gdy nagle, o jakie trzydzieści kroków od nas, wyłoniła się w pełnem świetle postać mężczyzny, idącego szybkim krokiem, z ciałem podanem naprzód, jakby uciekał.

Na ten widok ogarnęło mnie takie zdumienie, że nie byłam w stanie powstrzymać głośnego krzyku. Nim jednak zdążyłam się odwrócić, przed oczyma mignęła mi błyskawica, huk strzału ogłuszył moje uszy i ujrzałam owego człowieka padającego na ziemię, jak wilk, trafiony celnym strzałem.

Zdjęta najwyższem przerażeniem, zaczęłam okropnie krzyczeć, lecz w tejże samej chwili ręka Henryka schwyciła mnie pod gardło, ruchem wściekłości. W okamgnieniu powalił mnie na ziemię jak psa, uniósł w swoich potężnych ramionach, i trzymając wysoko, biegł ku rozciągniętym na trawie zwłokom, na które rzucił mnie z taką gwałtownością, jakby mi chciał roztrzaskać czaszkę.

Byłam pewną, że to już ostatnia moja chwila. Zabije mnie... Wzniósł właśnie nogę nad mą głową — gdy naraz, sam schwytany i obalony runął na ziemię wpierw, nim zdołałam pojąć, co się właściwie stało.

Zerwałam się w jednej chwili, i co ujrzałam? Oto pokojówka moja, Paquita, klęcząc na moim mężu, wyrywała mu brodę, wąsy i skórę z twarzy, jak rozjuszona pantera.

Następnie, jakby myśli jej inny przybrały kierunek, zerwała się i przypadłszy do trupa, pochwyciła go oburącz w objęcia, całując mu twarz, oczy, usta, wciskając między jego martwe wargi swe usta płonące, szukając w nich śladu tchnienia i namiętnej pieszczoty miłosnej.

Mąż mój, podniósłszy się, ujrzał tę scenę. W jednej chwili zrozumiał wszystko i padając mi do nóg, wykrzyknął:

— Najdroższa! wybacz mi!... Podejrzewałem ciebie, a tymczasem zabiłem kochanka tej dziewczyny.. To mój strzelec wprowadził mnie w błąd.

A ja stałam z oczyma, przykutemi dziwnym widokiem pocałunku tej pary kochanków, z których jedno płonęło pełnią życia, a drugie leżało martwe bez tchu, zahipnotyzowana widokiem rozpaczliwych łez dziewczyny i spazmów jej tak okrutnie skrzywdzonej miłości.



Ś. p. podpułkownik-pilot Zych-Płodowski zginął śmiercią lotnika.



Widok warsztatów na dworcu wschodnim w Warszawie, które spłonęły dnia 15 maja, dając około miljona złotych strat.

Pogrzeb ś. p. podpułkownika-pilota Zych-Płodowskiego odbył się z należną świetnemu lotnikowi wojskową paradą.





Zawody sportowe, które odbyły się 3 maja w Otwocku, zgromadziły tłumy publiczności.



Tak wygląda medal zasługi za pracę na roli, wykonany przez Edwarda Witiga na zlecenie Ministerstwa Rolnictwa. Podajemy odbicie obydwu stron medalu.





W dniu św. Zofji nastąpiło podniesienie bandery na przystani Warszawskiego Towarzystwa Wioślarskiego. Z kościoła uczestnicy w barwnym pochodzie udali się na przystań.



Wojna się toczy, krew się leje, a jednak małym Chińczykom opromienia lice słoneczny uśmiech dziecięcy.



Kongres kobiet w Moskwie. Działaczki sowieckie pragną uszczęśliwić siostrzyce całego świata rajem, panującym w Sowietach, gdzie rekwiruje się wszystko, nawet... kobiety w celach równości i powszechnego zadowolenia.

Pismo, które się podoba, winno być przyjacielem, popieranym zawsze i wszędzie.



Tak wygląda znakomity atleta japoński Mijagijama, który podobno swoim wyglądem przygniata każdego przeciwnika.



Poeta-futurysta, Włodzimierz Majakowskij, luminarz i piewca Rosji Sowieckiej, bawi w stolicy Rzeczypospolitej.

(Z nieogłoszonych materjałów).

Z dziejów martyrologji polskiej r. 1863

XII

Bolesław Bortkiewicz



BOLESŁAW BORTKIEWICZ syn Karola, uczestnika pochodu Napoleona na Moskwę oraz powstania 1830 r., i Teofili z Jezierskich Bortkiewiczów. Studja odbywał w Uniwersytecie Dorpackim i w tym czasie za udział w powstaniu 1863 r. został aresztowany i zesłany na Sybir do ziemi Jakuckiej. W roku 1870 był uwolniony z prawem zamieszkania tylko w Rydze. Tam w roku 1876 ożenił się z panną Julją Piłsudską (ciotką obecnego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego). Następnie zamieszkał z żoną w majątku dziedzicznym Wołodkajciach w Kowieńszczyźnie, pow. Szawelskiego, i tam zmarł bezdzietny na parę lat przed Wojną Europejską. Powyższe szczegóły podaje nam bratanica Bolesława Bortkiewicza Marja z Bortkiewiczów Adamowa Bohdanowiczowa.

Bratnia mogiła we Władykach

Dnia 4 kwietnia 1863 r. w majątku Świeczkach, p. Kurowskiego pod Kraśnem, powiatu wilejskiego, niewielki oddział powstańców pod dowództwem Juljana Bokszańskiego został rozbity przez Kołokołowa. Z resztek, ocalałych z tej bitwy, oraz z innych, sformował się w powiecie wilejskim pod dowództwem Poklewskiego-Koziełły z majątku Serwacza oddział, składający się ze 190 ludzi. Oddział ten, mając na celu połączenie się z drugim oddziałem powstańców powiatu wilejskiego, dowodzonego przez Świętorzeckiego, dla chwilowego wypoczynku zatrzymał się pod Władykami, jako w miejscu bezpieczniejszem, otoczonem lasami, błotami i rzeką Iliją. Jednak z powodu zdrady, napadnięty z kilku stron przez wojsko rosyjskie, stojące w Zaciemieniu o 2 kilometry od Władyk, pod dowództwem pułkownika Galla, został niemal doszczętnie 16 maja 1863 r. rozbity. Ze 190 ludzi ocalało tylko 54, wzięto do niewoli 25, potonęło w rzece Ilji, poumierali i pochowani zostali w różnych miejscach 53, zaś 58 poległo w samych Władykach. Tu ich wojsko rosyjskie pozbierało w jedno miejsce, obdarło do bielizny i, układając ciała jedno na drugiem w dwa rzędy, zasypało do wspólnego rowu.

Przed zakopaniem ciał pułkownik Gall sprowadził miejscowych obywateli, Seweryna i Ottona Bohdanowiczów, dla rozpoznania zabitych. Aczkolwiek wielu z nich poznano, jednak z obawy represji względem pozostałych rodzin nie wyjawiono nazwiska żadnego z poległych, skutkiem czego kroniki rosyjskie również nie podają ich spisu.

Z ustnych podań oraz z wydawnictw polskich o powstaniu 1863 r. dotychczas ustalono tylko 25 nazwisk z 58 pogrzebanych we Władykach. Nazwiska te brzmią:

1) Wincenty Poklewski-Koziełł, dowódca oddziału, 2) Dauksza Mikołaj, 3) Domanowski z Mińska, 4) ksiądz Gałdecki z Wołkołaty, 5) Konopacki, 6) Kopeć Eustachy, 7) Koziełło Henryk, 8) Łaszczkiewicz, 9) Muraszko I, 10) Muraszko II, 11) Obern z Dołhinowa, 12) Odyniec Ireneusz z Wiązowca, 13) Odyniec Wincenty z Miadzioła, 14) Podhajski z Miadzioła, 15) Ratyński Alfred z Krasnego, 16) Ratyński Ernest z Krasnego, 17) Ratyński Zdzisław, 18) Rodziewicz



Poświęcenie mogiły 58 powstańców 1863 roku we Władykach powiatu Wilejskiego. Stoją: 1) biskup Bandurski, 2) wojewoda Raczkiewicz, 3) prezes komitetu budowy pomnika p. Adam Bohdanowicz.



Jeden z uczestników boju we Władykach, weteran 63 roku p. Franciszek Lipień, dożył do dnia uroczystości żałobnej. Widzimy go na samochodzie obok prezesa A. Bohdanowicza.

Plebiscyt „Famulusa"

Jakich kobiet nie lubią współcześni mężczyżni?
Jakich mężczyzn nie lubią współczesne kobiety?

Co nam dał nasz plebiscyt?

Z numerem obecnym zamykamy nasz pierwszy plebiscyt...

Nie wszystkie głosy nadesłane zdołaliśmy wydrukować, gdyż było ich bardzo wiele. Wybieraliśmy te z pośród nich, które były ciekawsze i nie powtarzały się w już wypowiedzianych przez inne osoby poglądach.

W każdym razie żniwo było dość obfite, wskazując, iż plebiscyt obudził duże zainteresowanie, i dość różnorodne w wypowiadanych uwagach. Wszelka płeć i wszelki wiek zaznaczyły swoje stanowiska.

Jakież więc wnioski wysnuć możemy, zestawiając głosy biorących w plebiscycie udział? Jaka linja wspólna wykreślić się daje przy podsumowaniu tego, co było powiedziane?

A więc...

Zacznijmy od pań. Te najwięcej może i najwymowniej określiły swoje upodobania co do typu męskiego. Nie szukają w mężczyźnie apollinowej urody, nie uznają lalkowatości, nie chcą ogłupionych nadużywaniem sportu skoczków i pięściarzy, cenią natomiast rozum, energję życiową, prawość charakteru i rycerskość w myślach i czynach.

I trzeba zauważyć, że w dobie powojennego upadku obyczajów i wybujałości sportowej kosztem upadku czytelnictwa i zainteresowań intelektualnych objaw to zdrowy i dobrze wróżący na przyszłość. Gangrena dancingów i łamańców murzyńskich się skończy, a młodzież nasza, i ta żółtodzióba jeszcze i ta już wchodząca w okres męski, dojdzie do wniosku, iż poza kopaniem piłki nożnej, skokiem o tyczce i okładaniem się pięściami w boksie, co w miarę stosowane pożyteczne jest dla zdrowia, są jeszcze inne światy, stokroć ponętniejsze, do których, aby wejść, trzeba wygimnastykować mózg i głowę.



A teraz z kolei, co powiedzieli panowie...

Jakiż typ kobiecy ceniony jest najbardziej? Która ma najwięcej szans, by znaleźć klucz do męskiego serca i zapalić w niem ogień gorący i trwały?

Większość głosów stwierdza: nie baletnica dancingowa, oszołomiona „jazzbandem", nie zaniedbana i pozująca na mędrca filozofka, lecz kobieta o pełni wdzięku, prostoty i serca, bowiem taka tylko może się stać skarbem w życiu mężczyzny, jak promień słońca, rozzłacający szare dnie trosk i pracy.

I tu objaw zdrowy, stwierdzający iż jednostkowe wybryki nie mogą być brane w rachubę, nie będąc regułą.

Oto ogólne wnioski i podsumowanie naszego pierwszego plebiscytu. Ogłaszamy z kolei drugi:

Mój pogląd na nałóg palenia i picia

Strzeżysław, 19) Rodziewicz, 20) Samonowicz, 21) Stańczyk z Wilejki, 22) Suchocki, 23) Szafkowski Władysław z Hłuboczan, 24) Wasilewski z Dolhinowa, 25) Walicki Aleksander.

Wśród nazwisk rannych ustalono tylko 5 osób:

1) Koziełło Augustyn, 2) Koziełło Wienczysław, 3) Kozłowski z Dołhinowa, 4) Lipień Franciszek z Kurzeńca, 5) hrabia Tyszkiewicz Henryk.

Na mogile 58 pogrzebanych we Władykach bez księdza i bez ceremonji kościelnych Rosjanie nie postawili nawet krzyża i nie oznaczyli tego miejsca, a ponieważ i później rząd rosyjski starannie nie dopuszczał ani krewnych ani wogóle rodaków do tych mogił, około których zakopywano trupy bydlęce, więc z czasem mogłyby zginąć dla pamięci ludzkiej te drogie dla serca polskiego mogiły naszych bohaterów, gdyby Opatrzność, wojna światowa i wypadki dziejowe nie doprowadziły do wskrzeszenia Polski, o którą polegli we Władykach walczyli. Za rządów więc polskich na zebraniu ziemian powiatu wilejskiego w końcu 1921 roku zainicjowano odnalezienie i ustalenie miejsca mogiły władyckiej, jej uporządkowanie i wzniesienie pomnika. W tym celu wybrano pod przewodnictwem Adama Bohdanowicza komitet, który od tego czasu rozpoczął swą czynność, jako „Komitet budowy pomnika we Władykach poległym powstańcom 1863 roku".

Sztuka i teatr

Edward Wittig i jego rzeźby



Edward Wittig, znakomity rzeźbiarz polski

Fot. A. Gürtler

Wielkie i wyjątkowe dla cudzoziemca wyróżnienie głośnem echem odbiło się w całym świecie.

Przyjęcie zasłużonego artysty, prof. Edwarda Wittiga do grona członków Akademji Sztuk Pięknych w Paryżu jest nielada ewenementem, zaszczyt ten bowiem ze strony najsławniejszego w świecie areopagu Sztuki być może oceną tylko dla światowego talentu i wyjątkowego dzieła. Dziełem, które tak szczytnie zostało wyróżnione jest „Pomnik Polskiego Lotnika", które wkrótce ozdobi naszą stolicę.

Z pełną świadomością sukcesu narodowego przyjął ten zaszczyt wielki artysta, tym sposobem podkreślając, iż nawet artysta wolnych dróg szukający, winien służby swe nieść jednak przedewszystkiem Ojczyźnie.

Wdzięczni za ten przykład, dumni z tego sukcesu, przyłączyć się i my pragniemy do wyrażenia hołdu Polakowi artyście.

Sztuka, ta wszechwładna pani, najlepiej i najgodniej wprowadza każdy naród, ją posiadający, do rzędu narodów, przodujących w cywilizacji i kulturze.

Nie dość bowiem posiadać dobrze użyźnioną i rodną rolę, nie dość szczycić się bogato rozbudowanym przemysłem, nie dość prym trzymać w handlu — to nie wystarcza. O ile naród niczem się nie przyczynia do wnoszenia skarbów ducha dla ludzkości, może być tylko zażywnym parjasem, nie budzącym dla siebie czci i szacunku.

Do tego sztuka, teatr i literatura jest, że tak powiemy najwymowniejszym biletem wizytowym, składanym w salonie zbiorowego życia państw i narodów.

Niestety, w latach powojennych zainteresowania te osłabły, zwłaszcza u nas, gdyż wszechwładnie ogarnęła społeczeństwo nasze pasja politykowania, przekształcając się u ludzi, niedorosłych do niej umysłowo w szkodliwą manję prześladowczą.

Dobrze więc, że nastaje w tej dziedzinie pewna reakcja, i twórczość ojczysta zaczyna odzyskiwać swój wpływ i należne miejsce w państwie i społeczeństwie.

Jeszcze jedno podkreślamy. Nic nie daje takich rezultatów, jeśli chodzi o propagandę Polski, jak właśnie sztuka.



Z dziel E. Wittiga: Pax (Pokój)



Z dziel E. Wittiga: Pomnik Polskiego Lotnika





Z dziel E. Wittiga: Fragmenty z grupy „Zwycięstwo"

Sensacyjna premjera

W najbliższych dniach stołeczny Teatr Polski wystawi sztukę Antoniego Słonimskiego, najbardziej bezwzględnego z pośród warszawskich krytyków teatralnych — pod tytułem „Wieża Babel".

W kołach literackich i teatralnych premjera sztuki budzi żywe i sensacyjne zainteresowanie.

W wywiadzie, udzielonym jednemu z teatralnych pism stołecznych, p. Słonimski, między innemi, powiada:

„Od teatru domagam się prawdziwej i wielkiej poezji. I dlatego uważam „Wieżę Babel" za dalszy etap w mej twórczości poetyckiej. W poszukiwaniu drogi do czytelnika, wiedziony chęcią nawiązania z nim najżywszego kontaktu, wybrałem teatr. Cenię wielkie znaczenie teatru, uważam, że ulega on u nas wielkiej profanacji. Wpadł w niewłaściwe ręce, które uczyniły zeń instytucję komercjalną. Wieje więc od niego pustka i nuda. Schlebiając nizkim instynktom, ograniczono się do repertuaru, w którym alkowa i wieczny trójkąt miłosny odgrywają rolę zasadniczą. Teatr przestał być aktualny w najgłębszem tego słowa znaczeniu. Zadaniem bowiem wielkiej sztuki jest dać wyraz tym ideom, problemom i poglądom, które podświadomie już żyją w tłumach. Deski teatru są najodpowiedniejszem miejscem do wypowiedzenia ich. Na tym polega prawdziwe wyczucie aktualności. Uważam sztukę mą za aktualną, ujęcie tematu za rewelacyjne, niemal sensacyjne w najlepszem tego słowa znaczeniu. Podkreślam, że jest to utwór popularny, t. zn., że postawienie kwestji i sposób ujęcia problemu są takie, iż mogą być dostępne jaknajszerszym masom społecznym. Dążyłem do tego w zrozumieniu zadań społecznych teatru".

W taki sposób autor ujmuje sentencję swego dramatu.

M. S.

Dudy i dudziarze

Jak się dowiadujemy, ciekawy artykuł oraz ilustracje dud i dudziarzy, podanych w numerze 12 „Famulusa", zawdzięczamy p. Szymonowi Nawrockiemu, który nie poskąpił trudu i starań, by nie dać zginąć w pyle zapomnienia instrumentowi ojczystemu, omawiając sprawę dud i dudziarzy już uprzednio na łamach „Kurjera Poznańskiego" i „Żołnierza Wielkopolskiego", z którego użyczono nam materjałów.

Notujemy to z prawdziwą przyjemnością i uznaniem dla p. Szymona Nawrockiego, mając tę pewność, iż wydobyta przez niego na powierzchnię zainteresowań sprawa dud i dudziarzy, jakich zachowała Wielkopolska, dozna należytego zrozumienia i poparcia przez społeczeństwo i przez czynniki władzy.

Szkoda byłoby, aby dudy i dudziarze zginęli w Polsce.

Przegląd lekkiej muzy

I

W sezonie bieżącym, w czasie przeżywanego przez teatry dużego kryzysu dało się zauważyć w świecie Melpomeny dziwne zjawisko: równoczesne powstanie w stolicy całego szeregu małych teatrzyków.

Ta stosunkowo nadmierna ilość zorganizowanych ad hoc scenek wymaga rozklasyfikowania ich według walorów. Dokonany przegląd daje w rezultacie pojęcie, iż niektóre z tych przybytków sztuki nie zasługują bynajmniej na miano, którego szumnie używają, „teatr artystyczno-literacki", bowiem produkcje tych „teatrów" nadawałyby się raczej na jarmark, niż dla stolicy. To też o nich mówić nie będziemy.

Przy jaknajdalej idącej tolerancji, niepozbawionej nawet życzliwości, muszę w imię sprawiedliwości stwierdzić, że jedynie tylko „Qui pro quo" zachowało dotychczas i dba o dalsze zachowanie linji teatru rewji w całem znaczeniu tego słowa. Dowiodła tego ostatnio wystawiona rewja „Sałatka majowa".

W teatrze tym coś się przynajmniej dzieje, ktoś tam myśli. To też od czasu do czasu wykwita na jego gruncie jakiś nowy talent, powstaje nowa forma, nowy typ, który z czasem staje się niezwykle trwałym. No bo, czy taki Jarossy nie jest jedynym doskonałym zapowiadaczem w Polsce, czy taki Krukowski nie jest dziś przysłowiowy? Treść jego piosenek, jego „genre", który powstał zaledwie w ubiegłym sezonie teatralnym jest dziś popularny nietylko w stolicy, ale nawet na prowincji. Zdarzyło mi się niedawno słyszeć w... Częstochowie, jak rozbawione towarzystwo śpiewało na ulicy piosenkę „On przecież niema nic".

Taki drugi nowy typ stworzył obecnie Dymsza. Jakaś groteskowa chaplinjada, tragikomiczny, brodaty oberwaniec, pesymista i optymista zarazem, splot wszelkich krańcowości. Jeden wielki zabawny nonsens.

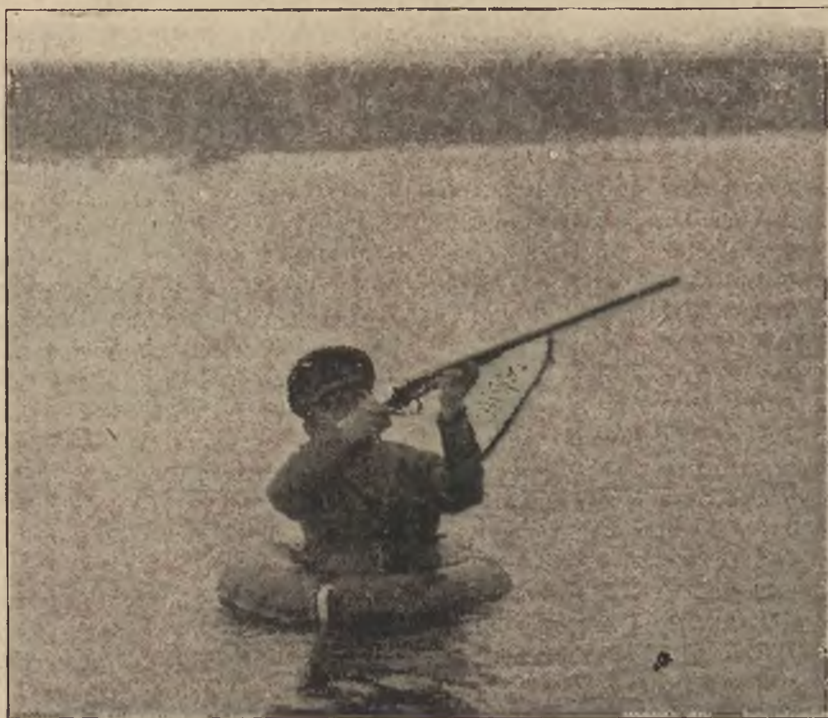
Również dziwy jakieś dzieją się z p. Zimińską. Podobno, biedactwo, cierpi na bezsenność. Potrafi jednak te nieprzespane noce należycie wykorzystać: **myśli.** I wpadła na pomysł stworzenia obrazka, nazwanego „Ogród udręczeń". Co za niepospolita trafność w zobrazowaniu rozmałpowanej żoneczki, przemawiającej do swojego męża pieszczotliwemi i dziecinnemi słowami. Co za precyzja w podpatrywaniu. Wykonanie tej roli przez pomysłodawczynię było w takim stopniu realistyczne, że budziło huragany śmiechu.

M. S.



Borański, artysta „Perskiego Oka" w karykaturze Jotesa

Rzeczy ciekawe



Niedługo chodzić będziemy po wodzie, jak po ziemi,..

Niezwykle pomysłowego i wartościowego wynalazku dokonał w Warszawie p. Świderski. Skonstruował mianowicie przyrząd, umożliwiający chodzenie po wodzie w dosłownem znaczeniu, przyczem głębokość wody nie stanowi żadnej przeszkody. Wynalazek, opatentowany pod trzema literami K. S. I. był już demonstrowany na Wiśle przed komisją wojskową i został uznany za przyrząd, gwarantujący całkowicie bezpieczeństwo przy przebywaniu wszelkich wód. Aparat waży 2 kilogramy i może się pomieścić w kieszeni. Dnia 15 b. m. odbyły się w Warszawie dwa publiczne pokazy chodzenia po wodzie przy pomocy K. S. I. i wypadły znakomicie.

*

Doktór Adolf Javal, długoletni lekarz w miasteczku francuskiem Cougenay, celem uczczenia dnia ślubu swej jedynaczki uczynił oryginalny podarunek obywatelom: zobowiązał się zaprowadzić własnym kosztem oświetlenie elektryczne pryncypalnej ulicy w Cougenay pod trzema warunkami: że rada miejska nie będzie się mieszała do planów i do wykonania urządzeń, że w przeciągu 7 dni rada miejska da stanowczą odpowiedź, czy zgadza się na przyjęcie daru lekarza, i że nad sprawą podarunku i sposobu wykonania inwestycyj nie będą dyskutowali radni miejscy. Warunki dr. Javala przyjęto, i w dzień ślubu jedynaczki zapłonęły w Courgenay lampy elektryczne.

*

Z okazji otwarcia nowej stolicy Australji, Canberra, rozegrana zostanie partja szachów przez radjo między parlamentem australijskim a londyńską Izbą Gmin. Gra trwać będzie po 4 godziny na dobę. Aparaty nadawcze ustawione zostały w obydwu izbach dla bezpośredniej komunikacji. Pierwszą partję rozpocznie książę Yorku.

*

Duński etnograf, Regstedt Federsen, odnalazł wśród plemion, zamieszkujących południowo-zachodnią część Afryki, w rejonie t. zw. Pondolent, znaczna ilość białych murzynów. Swym wyglądem zewnętrznym i rysami twarzy „biali murzyni" przypominają w zupełności Europejczyków, przyczem kolor ich ciała jest znacznie jaśniejszy, aniżeli nawet u metysów. Są to, jak twierdzi podróżnik i uczony, potomkowie tych europejskich kobiet, które przed 145 laty po rozbiciu u brzegów Afryki angielskiego okrętu „Grosvenor" dostały się do niewoli. „Grosvenor" płynął z Indji do Europy na początku 1782 r. z pasażerami i cennym ładunkiem.

*

Pisma amerykańskie donoszą, że pewien lekarz amerykański stwierdził podczas badania popisowego, iż ma on dwa serca. Jak wiadomo, serce ludzkie składa się z dwóch części — z t. zw. serca lewego i serca prawego, które jednak stanowią jedną całość. Otóż wspomniany popisowy posiadał, jak wykazały badania lekarskie, obie części serca od siebie oddzielone, tak że właściwie ma on dwa serca w pełnem słowa tego znaczeniu. Młody człowiek, który jest najzupełniej zdrów, nie miał najmniejszego pojęcia o nienaturalnej budowie swego organizmu.

*

Bawiący w Pekinie słynny podróżnik szwedzki, Swen Hedin, zawarł umowę z „Federation Scientific Institutions of China" w sprawie zorganizowania ekspedycji naukowej: geologicznej, meteorologicznej i archeologicznej do prowincji Sin-Kiang i do wschodniego Turkiestanu. Ekspedycja znajdzie się pod kierownictwem szwedzko - chińskiem. Wezmą w niej udział uczeni szwedzcy, chińscy i niemieccy. Ekspedycja wyruszy z Paotów w środkowej Mongolji. Swen Hedin wyjechał już z Pekinu do Paotów.

W Poznaniu popisuje się trupa liliputów, składająca się z samych Polaków i Polek



Kartki z humoru

NIEPOROZUMIENIE.



— Jak ci się podoba moja willa?
— Zupełnie ładna, ale dlaczego nie kazałeś zdjąć rusztowań...

TWARDA POSADZKA.



— Znowu coś stłukłaś...
— To ta posadzka, szelma, taka twarda.

Ptaki, jako artyści filmowi

w Holywood



Życie domowe w Kurzogrodzie płynie niczem w pięknej willi podmiejskiej. Tak samo obecnie dużo zabierają czasu porządki wiosenne i kłopoty o dziatwę, którą trzeba i odziać i wyżywić, jak również zadbać o jej zdrowie, by nie zachorowała na ospę wietrzną, świnkę czy inne dolegliwości.

Kto nie gra już dziś w filmach?

Nawet zwierzęta i ptaki musiały stanać do apelu na wszechwładne wołanie srebrnego ekranu.

W Holywood, tem mieście cudów i dziwactw kinematograficznych, wzniesiono nawet specjalny Kurzogród, w którym rej wodzi prześwietny aktor-komik papa Aleksander, rasowy kogut, głęboko przejęty swoją rolą.

Sekunduje mu dzielnie mama Filipcia, tłusta kwoka, i dorodna córa, wdzięczna Glorcia , przedmiot kogucich westchnień i zalotów.

Świetną zwłaszcza tresurę posiada papa Aleksander, który przebajecznie gra w filmach, wywołując śmiech do łez nietylko u publiczności, lecz, co gorsza, u aktorów podczas naświetlania obrazów, tak, że nieraz całe łokcie taśmy idą na marne.

To też nielada zakłopotane było Holywood, gdy papa Aleksander podjadłszy sobie nieco za dużo, rozchorował się i był bliski smutnego końca.



Modna pani Filipcia, trochę otyła, więc ma suknię dla nieco korpulentniejszej damy, w której podbija serca męskie.



Ozdoba Kurzogrodu w zalotnym kapelusiku, w którym jej bardzo do twarzy — to panna Glorcia.



Papa Aleksander, ubrany bez zarzutu i modnie codziennie robi dziatwie przyjemność, urządzając jej małą przejażdżkę na sobie przed ułożeniem dzieci do snu.

Krzyżakom -- Krzyżaków

Rząd niemiecki nie uwzględnił słusznego protestu polskiego z powodu propagandowego filmu hakatystycznego „Land unterm Kreuz".

Nie jest to dla nas niespodzianką trudno bowiem przypuszczać, by Niemcy, którzy wciąż dalej, pomimo tchnienia przeróżnych „pacyfizmów", manifestują swą wojującą butę nacjonalistyczną, tak prędko ustąpićby mieli i to pod presją platonicznych protestów.

Zamiast ogólnego bojkotu filmów niemieckich, sfery kompetentne projektują bojkot zaledwie trzech firm: Deulig, Eikofilm i Emelka.

A możebyśmy zechcieli bojkot ten rozszerzyć na inne interesy eksportowe doktora Hugenberga, który stoi przecież na czele nie tylko imprez filmowych, ale również posiada poważny trust wydawniczy, którego publikacje nadal poczytne są w Polsce.

Poza bojkotem jednak istnieje inna broń, którą winno walczyć społeczeństwo o pewnej inicjatywie:

Na „Land unterm Kreuz" mamy odpowiedź — inscenizacja „Krzyżaków", temat akurat odpowiedni, z tą wszakże różnicą, iż filmidło niemieckie nie wyjdzie poza granice Rzeszy, „Krzyżacy" zaś mają wszelkie szanse światowej sławy.

Brak nam, może, warunków technicznych? Ale i na to jest rada, byleby wszystkie nasze wytwórnie zgodnie dłoń sobie podały, a wtedy, gdy chodzi szczególnie o film, jak „Krzyżacy", zaapelować mogą nawet do społeczeństwa, które niewątpliwie chętnie im pomoże.



PETITES ROBES.



„Petites robes", zwykłym językiem sukienka, jest strojem niezbędnym, czy to w mieście, czy to na wilegjaturze, dokąd już Czytelniczki nasze planują podróż. Futerko na ramionach, kwiat pod szyją, modna szarfa i sukienka całkowicie zastąpić może nawet kostjum. Krótka, „svelte" w linji, doskonale odmladza sylwetkę, a to przecież jest głównem dążeniem dzisiejszej mody.

W sukienkach właśnie, o skromnych, lecz wytwornych linjach, modne dziś fałdy i plisy główną stanowią ozdobę całości, przyczem linje utrzymane są skośnie, a godety w stanie puszczane bywają dość nisko.

Materje—Crêpella, Tamisca, ryps lub kombinacja cięższych z lżejszemi. Lżejsze—crêpe de Chine, crêpe Georgette i wreszcie ostatni krzyk mody: radjum. Radjum jest prawdziwą rewelacją w dziedzinie materyj: łączy błysk tafty z miękkością crêpe de Chine'u, jednocześnie będąc przyjemniejszem nawet w noszeniu od jedwabiu.



PIEGI

Piegi są wielkiem zmartwieniem płci pięknej. Również i płeć brzydka zadowolona z nich nie jest.

Piegi zwykle występują letnią porą, nawet już w marcu zaczynają królować na twarzyczkach, szczególnie u osób, mających jasne włosy, a zwłaszcza ryże.

W krótkich słowach objaśniam, co to są piegi.

Otóż piegi są to pigmenty, koncentrujące się w trzeciej warstwie naskórka, t. j. w warstwie kolczastej. W tej warstwie znajdujemy usadowione punkciki niby ziarnka, które pod wpływem promieni słonecznych potęgują się, są wyrazistsze, czyli jaskrawiej się uwydatniają. Należy więc, nim się spotęgują, starać się temu zapobiec. Z wielu środków, szumnie reklamowanych, naintensywniej działa płyn zwany „Tuja" dr. Seguinauda. Płynem tym należy raz dziennie smarować miejsce, pokryte piegami, dotąd, aż znikną. Smarować można w każdej porze dnia, bowiem płyn ten szybko zasycha i jest niewidoczny.

Jak wyżej wspomniałem, piegi koncentrują się aż w spodniej, trzeciej warstwie kolczastej naskórka. Dosięgnąć do tego zbiorowiska możemy przez złuszczenie obu pierwszych warstw, a dostawszy się do piegów, na nie działać i niszczyć je.

Gdy przez stosowanie tego środka osiągniemy cel, należy znów działać, aby się piegi nie wzmogły. Wówczas, jako prezerwatywę, należy stosować raz dziennie zwilżanie całej skóry zwyczajną wodą utlenioną, a nawet prąd faradyczny, lecz tak umiejętnie, aby nie wywołać podrażnienia.

Przy aplikowaniu „Tuji" daje się przy wrażliwej cerze odczuwać podrażnienie naskórka aż do czerwoności. Tem się jednak nie należy przejmować, gdyż to jest konieczne przy łuszczeniu — najwyżej można łagodzić czerwoność wazeliną, a przy większem podrażnieniu na parę dni kurację przerwać.

Osoby skłonne do piegów, powinny nosić ubrania głowy koloru czerwonego, kremowego, białego, lub lekko niebieskiego, bowiem kolory czarne przyciągają promienie słoneczne, a te potęgują pigmenty, więc ich nie nosić.

P. Brzydal. Przeczytałem kilka razy list Sz. Pana i przyszedłem do wniosku, iż Sz. Pan powinien się głównie leczyć ogólnie, gdyż te wady mają też podłoże ogólne. Zewnętrznie zaś zaraz po przeczytaniu tej odpowiedzi zaprzestać mycia się gorącą wodą, pomimo, że cera jest tłusta. Proszę oczyszczać skórę piaskiem dr. Seguinauda, za pomocą specjalnej szczoteczki, podług załączonego do każdego pudełka przepisu. Oczyścić cerę dokładnie z wągrów, zastosować d'arsonwala i wycierać spirytusem z dodaniem 2% benzyny.

P. Mirski w Łodzi. Na niewidzianego nic się nie da zrobić, bowiem przy tym defekcie należy zastosować zabieg leczniczy. Ropniaki poprzypalć lub zastosować odpowiednie środki dezynfekcyjno-lecznicze.

W. Klimecki.



Z naszych wycieczek letnich

I

Dokąd jechać? Oto pytanie, które pomimo niespodzianek atmosferycznych z każdym tygodniem staje się bardziej aktualnem. Liczymy, budżetujemy, bilansujemy, narażamy się na kilkudniowe zerwanie stosunków dyplomatycznych na łonie rodziny i wreszcie rady szukamy w piśmie, w najmniejszem chociażby ogłoszeniu pragnąc znaleźć odpowiedź na dręczące pytanie: dokąd jechać?

Zważywszy przeto na posłannictwo nasze, sami jedziemy w świat, by móc lepiej służyć radą i pociechą.

*

Otwock... Zaledwie kilkanaście minut drogi (spóźniać się można na pociąg co godzinę, pociągów bowiem na linji mamy przeszło czterdzieści dziennie).

Prosto ze stacji udajemy się do władzy, uosobionej przez wielce sympatycznego burmistrza, p. Michała Górzyńskiego. Nie mówmy o gościnności pana burmistrza, bo każdy z pewnością zamiast do klimatyki szedłby prosto do władzy, posłuchajmy raczej, co nam p. Górzyński mówi o Otwocku.

— W miejscowości klimatycznej — objaśnia p. burmistrz — przedewszystkiem dbać musimy o stan zdrowotny. Wszystko można zrobić przy dobrych chęciach tam nawet, gdzie obywatele niekoniecznie okazują dostateczną dbałość. Zaprowadziliśmy wszędzie, nawet na posesjach prywatnych, szalety, śmietniki, doły kloaczne. Uruchomiliśmy przedsiębiorstwo asenizacyjne, które dbać będzie o utrzymanie czystości. Poza temi nieodzownemi warunkami higjeny publicznej, przypisujemy sobie za zasługę inicjatywę w kierunku estetyki: wyznaczyliśmy przeto nagrodę pieniężną w wysokości 2.000 zł. za urządzenie najpiękniejszych kwietników. Bezpieczeństwo zapewnia sprawnie funkcjonująca policja, której ułatwiliśmy zadanie przez odpowiednie oświetlenie miasta. Posiadamy straż pożarną, oprócz ochotniczej organizacji. Wyposażyliśmy ją w doskonałe rekwizyty. Oto stan obecny. Znaczny majątek miasta (wartości 1.600,000 zł.) pozwala nam rozpatrywać dalsze projekty, jak kanalizację, wodociągi, budowę hali targowej, domów urzędniczych, założenie parku i t. d. Stan szkolnictwa również zainteresować może każdego, któremu wypadnie dłużej pozostać w naszem mieście. Jak na miasto, liczące 11,350 ludności, szkół posiadamy poddostatkiem: 8 klasowe gimnazjum koedukacyjne, szkoły powszechne, przedszkole. Budujemy obecnie piękny gmach szkolny, który wkrótce oddany będzie do użytku publicznego.



Michał Górzyński, burmistrz miasta Otwocka

— Wiele się zrobiło — konkluduje p. Górzyński — wiele jest jeszcze do roboty, praktyka jednak współpracy z radą miejską w ciągu 7 lat mego urzędowania pozwala mi przypuszczać, iż nie jednego dokonać można, pracując w harmonji i obopólnem zaufaniu.

Odwiedzamy z kolei p. doktora Ludwika Mirosławskiego, lekarza klimatycznego Otwocka.

— Głównemi zaletami Otwocka — objaśnia nas pan doktór — są lasy iglaste i charakter gleby, która znakomicie przepuszcza wilgoć. Silna operacja słoneczna w okolicy szeroko zalesionej (Otwock liczy 1.100 hkt. lasów wśród ogólnej przestrzeni 10 kil. kw. zadrzewienia) przyczynia się do znakomitego wydzielania ozonu, tak drogiego, jak wiadomo elementu zdrojowiskowego. Przykrycie leśne doskonale osłania nas od wiatrów, a również łagodzi zbyt gwałtowne zmiany atmosferyczne. Otwock jest wymarzoną miejscowością dla leczenia chorób narządu oddechowego, chorób na tle przemiany materji, chorób wieku dziecięcego i innych. Przystępujemy do budowy pięknie pomyślanego domu uzdrowiskowego, który wyposażymy we wszelkie udogodnienia zarówno charakteru leczniczego, jak też wymogów najszerszego komfortu. Obecnie istniejące sanatorja posiadają doskonałe warunki, które pozwalają czekać na wybudowanie własnego wielkiego sanatorjum. Dzięki uczynności ludzkiej posiadamy również dla niezamożnych kilka zakładów dobroczynnych. Kuracjusze nasi poza naturalnemi warunkami przyrody korzystać mogą z pięknych urządzeń parkowych, na których rozmieściliśmy wszelkie urządzenia sportowe.

— Otwock — konkluduje doktór Mirosławski — jest uzdrowiskiem o dużej przyszłości.

*

Pod dodatniem wrażeniem wyjeżdżamy z Otwocka, rzeczywiście przekonani o wielkiej doniosłości posiadania w pobliżu stolicy tak wyjątkowej miejscowości klimatycznej.

Jeżeli ci się podoba „Famulus“ i jesteś jego przyjacielem jednaj mu nowych abonentów.

Do bieżącego numeru dołączamy dla Prenumeratorów dalszy arkusz dodatku powieściowego

CENA PRENUMERATY:

Miesięcznie	Zł. 1.—
Kwartalnie	„ 3. —
Półrocznie	„ 6. —
Rocznie	„ 12.—

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
Warszawa Miodowa 5, tel. 28 33 i 2-96
Administracja czynna od godziny 9-ej do 4-ej p. p
Redakcja czynna od 10 do 4-tej p. p. Redaktor przyjmuje od godz. 1-ej do 3-ej p. p. Rękopisów nadesłanych Redakcja nie zwraca. Redaktor działu propagandy i reklamy **I. K. Librach** przyjmuje od 9-10.
Konto P. K. O. Nr. 14315.

Redaktor i wydawca *Eugenjusz Rafalski*

Zakłady Graficzne „Polska Zjednoczona“, Warszawa, Nowolipie 2.